

J a c e k   H o ł ó w k a

## Adoksografia

**Słowa kluczowe:** *Erazm z Rotterdamu, ironia, szyderstwo, poemat heroikomiczny, ukryta krytyka, naiwna gorliwość, udawana naiwność, szaleństwo*

Adoksografia to „pisanie wbrew przekonaniom”. Termin jest niezbyt popularny, a nadto jest nieostry i niejasny. Trudno czasem zdecydować, czy jakaś publikacja jest naprawdę adoksograficzna, i podać powody, dla których chcielibyśmy zaliczyć ją do tej grupy utworów. Czasem nie wiemy, czy ironia i prowokacja były zamierzone, czy są raczej efektem nieporadności, frustracji, chęci zabłyśnięcia. Być może udałoby się nawet uwiarygodnić tezę, że tego zjawiska i tego terminu w ogóle nie ma, ponieważ jego angielski odpowiednik ‘*adoxography*’ nie jest uwzględniony ani przez *Oxford Universal Dictionary*, ani przez *The American Heritage Dictionary*. Nie wspomina go też polski *Słownik wyrazów obcych*. Jednak znaleźć go można w Wikipedii, która poświęca mu niewielki artykuł, wyjaśniając, że jest to makaronizm wprowadzony do języka w dziewiętnastym wieku, gdy w wiktoriańskich szkołach „przewrotne pisanie” zdobyło sobie popularność na zajęciach z retoryki. Uczniom zalecano, by dla ćwiczenia stylu chwalili coś, co nie zasługuje na pochwałę. Arthur S. Pease w artykule: *Things Without Honor* podkreśla, że ta umiejętność (choć nie słowo) ceniona była w starożytności i była przedmiotem ćwiczeń. We fragmencie przypisywanym Gorgiaszowi wychwala się nie tylko urodę Heleny, ale także jej silny charakter, mający się objawiać w nieustępliwej walce o miłość Parysa. To raczej szyderstwo niż podziw. Pease twierdzi, że Grecy dla żartu chwalili podagrę, ślepotę, ogłuchnięcie, starość, niechlujność, cudzołóstwo, muchy, komary, pluskwy, dym i nawóz. Dodaje tezę, że jako typowe przykłady tego rodzaju literackiego można uznać pracę Tomasza De Quincey: *On Murder Considered as One of the Fine Arts* oraz książkę Lewisa Carrolla *Through the*

*Looking Glass*. Dziś, patrząc wstecz, możemy powiedzieć, że adoksografię stosowano w poematach heroikomicznych, np. w *Myszeidzie* Ignacego Krasickiego, w *Hudybrasie* Samuela Butlera, opowieściach barona Münchhausena, a może nawet w *Don Quichote* Miguela de Cervantesa. Łatwo też zdecydujemy, że adoksografia miała swych świetnych reprezentantów w filozofii, czego najlepszym przykładem jest dzieło Erazma z Rotterdamu *Moriae encomium*, czyli *Pochwała głupoty*.

Mimo dość znacznej popularności tego typu utworów, sam termin pozostaje nazwą polisemiczną, podobnie jak np. „nadużycie”, ponieważ wyznaczana przez niego praktyka szokowania absurdami miała różny charakter u różnych autorów. „Pisanie wbrew przekonaniom” nie zawsze było uprawiane „na niby”, czyli żartem i nieszczerze, lub dla celowego wprowadzenia czytelnika w błąd. Czasem wydaje się, że jakiś autor święcie wierzy w to, co pisze, i bardziej łądzi siebie, niż zwodzi czytelników. Biorąc pod uwagę tę samoułudę, łatwo uwierzmy, że adoksografia jest całkiem popularna w filozofii, gdzie roi się od paradoksów, zagadek, aporii, deklaracji godzących w zdrowy rozsadek, a nawet olbrzymich traktatów, np. Hegla lub Schopenhauera, w których serio głosi się, że świat istnieje zupełnie inaczej, niż to się wszystkim wydaje.

Całkiem uprawnione jest w związku z tym pytanie, kiedy filozofowie zwalczający oczywistości głoszą swe twierdzenia w intencji odkrycia i ustalenia prawdy, a kiedy kieruje nimi czysta chęć kontestacji. Można nawet sądzić, że pewni autorzy ulegają schizoidalnemu nastawieniu, wyrażającemu się w przekonaniu, że wszyscy kłamią, nikt nie zna prawdy, dobry argument jest więcej wart niż oczywistości zmysłów i rozumu, i tylko dureń ufa autorytetom, bo zabawne kłamstwo jest cenniejsze od naiwnych truizmów. Wiele tekstów filozoficznych sprawia wrażenie wyznań dokonanych przez osoby emocjonalnie niestabilne, chorobliwie podejrzliwe lub motywowane poczuciem nieomyślności. W istocie niewielu autorów poza filozofią (i może poza polityką) równie silnie wierzy w swój mesjanistyczny talent i moc zdobywania stronników na śmierć i życie. Filozofowie chętnie bujają w obłokach i przypisują blask zrozumienia rozświetlający Ziemię własnym traktatom. To może być silnym impulsem dla adoksografii.

Z tej słabostki nie trzeba jednak szydzić. Adoksografia nie zasługuje na bezceremonialne potępienie. Wystarczy, jeśli zapamiętamy, że zwykle nie stawia sobie za cel dążenia do prawdy, ale chce bawić naszą wyobraźnię, poszerzając jej horyzonty. Chce nas zmusić do jasnego myślenia i szacunku dla ścisłych rozumowań. Adoksografowie chętnie tępią logiczne błędy i pozorne dowody, choć często sami je popełniają. Antyczni sofisci zdobyli sobie na przykład do dziś trwające uznanie przez wskazywanie na podstępność wypowiedzi błędnych gramatycznie. Weźmy fragment z *Eutydemą* Platona. Jest kompletną naiwnością wierzyć, że Dionizodoros autentycznie sam się płacze w swoje paradoksy. On

wie, że mówi niedorzeczności, ale chce zobaczyć, jak sobie z nimi poradzi Ktezippos. Wmawia więc Ktezippowi, że Ktezippos jest psem. Tylko dziecko może sądzić, że to Dionizodoros jest bezradny i pogubiony.

- Jeżeli tylko będziesz mi odpowiadał, Ktezippie – powiedział Dionizodoros – to zaraz się na to zgodzisz. Bo powiedz mi, masz ty psa?
- I to bardzo złego – powiedział Ktezippos.
- A czy on ma szczenięta?
- Jeszcze jakie, takie same jak on.
- Nieprawdaż, ojcem ich jest pies?
- A toż sam go widziałem – powiada – jak się dobierał do psicy.
- No, a czy nie twój jest pies?
- Tak jest – powiada.
- No więc? Ojcem jest i twoim jest, zatem twoim ojcem jest pies i ty jesteś bratem szczeniątek. Czy nie tak?

Platon, *Eutydem*: 298 D

Tu nie ma paradoksu, ani aporii, ani błędu logicznego, ani niewinnej pomyłki. Jest tylko celowa adoksografia, czyli argumentowanie przeciwko ustalonemu przekonaniu. Czy takie argumentowanie jest dowcipne i pomysłowe, to osobna sprawa. Ważne jest, że mówiący doprowadza słuchacza, choćby na chwilę, do bezradności. Podsuwa mu twierdzenie, które ma pewne pozory słuszności, ale brzmi absurdalnie. Teraz zadaniem słuchacza jest ustalić, czy domniemana trafność twierdzenia jest prawdą, czy złudzeniem. Inaczej mówiąc, adoksograf stawia problem, ale go nie rozwiązuje. Przerywa rzetelną pracę filozoficzną w pół drogi. Nie skupiamy jednak uwagi na ustalaniu motywów takiego postępowania. Motywy mogą być różne. Adoksograf może być przekorny i zaczepny, jak Dionizodoros. Ale może być sam zdezorientowany i niezdolny do znalezienia rozwiązania. Zdarza się przecież, że to adoksograf jest niedoukiem lub piniaczem, albo facecjonistą, który siebie i innych wplątuje w aporie. To wszystko ma jednak – moim zdaniem – drugorzędne znaczenie. Nie traćmy czasu na badanie motywów; skupmy się na problemie. Paradoksy adoksograficzne są zawsze rozwiązywalne, tylko ich autorzy nie wiedzą, lub udają, że nie wiedzą, jak to zrobić. W przypadku Dionizodorosa możemy powiedzieć, że zaimki dzierżawcze mają funkcję atrybutywną, a nie predykatywną, czyli nie są terminami pełnego orzekania, lecz wyrażeniem szczątkowym. Gdy Dionizodoros mówi do Ktezippa o jego psie: „on jest twój”, to gramatycznie rzecz biorąc, nie mówi do Ktezippa: ten pies jest „twój”, tylko mówi do niego: „to jest twój pies”. Słowo „twój” nie ma w języku trwałego odniesienia, dopiero użyte w jakimś kontekście zdobywa odniesienie. Być może zatem przy okazji *Eutydema* ktoś uczy się czegoś pożytecznego. Jednak sam Dionizodoros nie uczy Ktezippa gramatyki. Ktezippos musi sobie sam

znaleźć nauczyciela. Czyli adoksografia nie uczy, lecz inspiruje, ale to też jest w filozofii potrzebne.

Nie rozliczajmy zatem adoksografów z prawdomówności, bo to nie są nauczyciele, tylko paradyści. Dostrzeżmy, że wprawdzie mówią nieprawdę, ale mówią ją w sposób pouczający, zmuszając nas do celowego wysiłku. I zapamiętajmy, że adoksograf w swych wyjaśnieniach zatrzymuje się w pół drogi. Nie ustala żadnego istotnego twierdzenia, tylko proponuje ćwiczenie myślowe. Warto rozwiązywać zadawaną przez niego łamigłówkę, ale pod żadnym pozorem nie należy wciągnąć się w próbę wykazywania, że adoksograf ma jakąś teoretyczną rację i jakoś mówi prawdę. On jest podobny do sportowca, który wiecznie trenuje, ale nigdy nie występuje w zawodach. Poza trenerem nikogo jednak nie obchodzi, ile zrobił pompek w siłowni, ile kilometrów przebiegł na taśmociągu lub jak długo wiosłował. Zaprawa fizyczna to program przygotowawczy, a nie osiągnięcie wyniku wartego zapamiętania. Na treningu nie bije się rekordów. Podobnie jest w filozofii. Adoksograf może ułatwiać odkrycie ciekawych i ważnych twierdzeń, ale sam biega w kółko.

W adoksografii podziwiamy pomysłowość i śmiałość, ale nigdy natarczywość perswazji albo retoryczną nieustępliwość. Żywy umysłowo człowiek lubi być zwodzony i adoksograf spełnia to oczekiwanie. Jednak by osiągnąć ten cel, adoksograf nie może przyznać, że jest adoksografem. Musi występować jak aktor na scenie. Gdy w wiktoriańskiej szkole uczeń idealizował pluskwy lub komary, to nie mógł przyznać, że tylko sobie żartuje. Gdyby to zrobił, żart spaliłby na panewce. Musiał udawać, że bierze pluskwy serio. Dopiero w ostatniej linijce mógł wyznać, że to, co mówił, było udawaniem i ćwiczeniem. To samo dotyczy klasycznych dzieł z zakresu adoksografii. Mogą jasno pokazywać, na czym polega ta specjalna umiejętność, ale nie mogą przyznawać, że w prezentowanym tekście wszystko jest powiedziane wbrew przekonaniu autora. Erazm z Rotterdamu liczy na domyślność czytelnika i nie musi dodawać, że kpi sobie z głupoty. Jego dzieło to traktat o pyszałkowatości, chełpliwości, świętoszkowatości, naiwności, łatwowierności i wszelkim innym blichtrze umysłowym. Powierzchnowość myślenia jest tam świetnie ukazana, ale bynajmniej nie jest piętnowana. Erazm chce, by czytelnik sam sobie wyrobił zdanie o matactwach.

W *Pochwale głupoty* Erazm wymienia trzy umiejętności, w których ze szczególną łatwością pełni się adoksografia i gdzie sukces zdobywają naciągacze, oportuniści i oratorzy. Erazm szydzi z nich, ale dyskretnie, bez zgrozy i gniewu. Wymienia dziedziny, w których intelektualne szalbierstwo jest normą, i twierdzi, że tymi dyscyplinami są: prawo, filozofia i teologia. Nie wyjaśnia, dlaczego na tych właśnie polach nierzetelność zdobywa sobie największy sukces. Może nie wie, może nie chce powiedzieć. To jest charakterystyczne dla świadomego swej sztuki adoksografa, który celowo neutralizuje zasadnicze

odróżnienie między prawdą i dobrym pozorem. Erazm odwraca naszą uwagę od podobnych pytań i pozwala mówić swym bohaterom. Głównie Głupocie. Chce, żebyśmy najpierw zrozumieli, jak argumentują sprytni naciągacze, a później dopiero ich oceniali. Przedwczesna ocena powoduje, że rozum zasypia, a głupota się pleni. I to jest główna myśl tej książki.

Erazm też szydzi sobie z nas, czytelników. Pomawia nas o to, że dajemy się uwieść retorycznym sztuczkom, bo lubimy być zwodzeni. Zachwyca nas każdy fachowiec, który poznał triki swego zawodu, zdobył biegłość warsztatową, ma erudycję i zawodowe kontakty. Czy Erazm dobrze nas rozumie? To główna zagadka tej książki.

## Prawnicy

O prawnikach Erazm pisze tak:

Prawo do pierwszego bodaj miejsca wśród uczonych roszczą sobie prawnicy i nikt nie jest z siebie zadowolony tak jak oni, kiedy bez przerwy toczą do góry swoje szyfowe głązy i jednym tchem płaczą ze sobą setki praw nie patrząc na to, czy one mają coś do rzeczy, kiedy piętrzą komentarze do nich na komentarzach, interpretacje na interpretacjach i doprowadzają do tego, że ta ich nauka wydaje się najtrudniejszą z wszystkich nauk. Oni bowiem są zdania, że to, co wymaga trudu, to już musi być i znakomite (Erazm: 105).

Wśród sławnych prawników pierwsze miejsce jako adoksograf zdobył sobie Clarence Darrow, amerykański adwokat, urodzony w Ohio w połowie dziewiętnastego wieku. Jako dziecko mieszkał w skromnym, ale efektywnym, ośmiokątym, białym wiejskim domu, dziś mającym status pomnika historii. Praktykował w Chicago do lat trzydziestych, czyli przez cały okres prohibicji (1931–1933). Zdobył sobie uznanie jako mówca występujący na spotkaniach Partii Demokratycznej. Pracował jako radca prawny w Północno-Zachodniej Linii Kolejowej i bronił interesów tej firmy aż do czasu, gdy miał wystąpić po stronie oskarżenia przeciw działaczowi związkowemu. W 1894 roku rząd federalny wytoczył proces związkowcom z American Railway Union. Głównym oskarżonym był Eugene V. Debs, organizator strajku w zakładach Pullmana. Przed procesem Darrow zerwał kontrakt ze swoją firmą i postanowił reprezentować oskarżonego. To był odruch człowieka uczciwego i odważnego, a nie decyzja adoksografa. Sprawę wygrał, jednak stracił stałą pracę i dobre dochody. Jako sprawny obrońca zdobył natomiast sławę. Wtedy przestał być skrupulatny w prowadzeniu spraw przed sądem. Przy okazji jednego z procesów, w których występował jako obrońca, oskarżono go o przekupywanie ławników. Choć nie został schwytany na wręczaniu pieniędzy, osoba, która przekazywała \$4000 łapówki, została zatrzymana przez policję, gdy zmierzała

w stronę biura Darrowa. Sam Darrow wyszedł na jej spotkanie i był świadkiem zatrzymania, co wskazywało, że chwilę wcześniej musiał być poinformowany telefonicznie o działaniu policji. Dziś sądzi się, że Darrow chętnie używał brudnych metod, by bronić dobrej sprawy. Takie postacie, *'a good bad man'*, cieszyły się zawsze w amerykańskim społeczeństwie uznaniem. Adoksograf to też oczywiście typ z gatunku *'a good bad man'*.

Prawdziwą sławę lub – jeśli wolno użyć oksymoronu (ulubionego tropu retorycznego adoksografa) – swą „niechlubną sławę” zdobył Clarence Darrow, gdy wystąpił jako obrońca w sprawie bezcelowego i aroganckiego morderstwa popełnionego przez Nathana Leopolda i Richarda Loeba na młodszym od nich chłopcu, chodzącym do szkoły, którą oni wcześniej ukończyli. Spiskowcy postanowili zabić Bobby Franksa, ponieważ go nie lubili. Nic więcej. Skądinąd nie lubili większości ludzi. Obaj pochodzili z bardzo bogatych rodzin w Chicago. Loeb w wieku 17 lat ukończył studia na University of Michigan i był najmłodszym absolwentem w historii tej uczelni. Leopold też studiował. Chłopcy byli bystrzy, ambitni, pewni siebie i niespokojni. Z zachwytem czytali Nietzschego i wierzyli, że są „nadludźmi”. Leopold miał talent ornitologiczny, Loeb był „leniwy i obsesyjnie zaczytywał się kryminałami”. Zanim doszli do dwudziestego roku życia, byli już życiem znużeni i szukali egzotycznych podniet. Nie jest jasne, czy zażywali narkotyki, czy działali z pełnym rozeznanie. Nie lubili Franksa, bo miał dziwny wygląd. Sprawiał wrażenie dziecka przebranego za dorosłego. Drobnny i niewysoki, ubierał się w ciemny garnitur i chodził w jasnym miejskim kapeluszu z szerokim rondem. Prawdopodobnie był wcieleniem kogoś, kto chciał uchodzić za postać władczą i imponującą. Leopold i Loeb nie mogli tego znieść. Stylizowanie się na gangstera uznawali za wyzwanie i prowokację.

W maju 1924 roku Leopold i Loeb zaprosili Franksa do auta i powiedzieli, że go zawiozą do domu. Franks nie chciał jechać, bo mieszkał zaledwie dwie przecznice od szkoły. Jakoś go jednak przekonali i posadzili na przednim siedzeniu. W trakcie jazdy spiskowiec siedzący na tylnym siedzeniu uderzył Franksa w głowę dłutem, później go zakneblował i pozwolił mu się udusić. Morderstwo było dokonane z premedytacją i zimną krwią, bezczelnie i wyzywająco. Sprawcy wyjechali za miasto i niedbale wcisnęli zwłoki do kanału przelotowego biegnącego pod polną drogą. Jeden ze sprawców zgubił charakterystyczne okulary. Po tym tropie odnalazła ich policja. Podczas dochodzenia winę zrzucali jeden na drugiego i prokuratorowi nie udało się ustalić, kto prowadził auto, a kto zabijał. Tę taktykę mataczenia prawdopodobnie doradził im Darrow, broniący ich obu. Za obronę otrzymał oficjalnie \$70.000. Plotki mówiły o milionie. Alfred Hitchcock nakręcił film *Rope*, oparty na motywach tej zbrodni. Film daje hipotetyczny, ale dość przekonujący wgląd w styl myślenia zabójców. Można go zobaczyć na platformie FMovies.



Przypadek stał się sławny, ponieważ Darrow uchronił zbrodniarzy od stryczka. To wzbudziło zrozumiałe zdziwienie. Trudno sobie wyobrazić bardziej bezcelową i ohydłą zbrodnię, może poza przypadkami sadystycznych tortur, którym zbrodniarze niekiedy dręczą swe ofiary przed śmiercią. Darrow bronił morderców przed karą główną i chciał przekonać sędziego, że Leopold i Loeb byli w jakimś stopniu niepoczytalni. Nie można ich było oskarżyć ani o to, że działali z niskich motywów, ani o to, że skorzystali na śmierci ofiary, ani o to, że kierowała nimi nienawiść. Motywem ich czynu – jak przekonywał Darrow przed sądem – była pierwsza wojna światowa i lektura Nietzschego. Hitchcock jeszcze dodaje zdanie – może z intencją ironiczną – „dobrzy młodzi Amerykanie zawsze ginęli na wojnie”. Sprawcy nie mieli silnego motywu, a to znaczy – argumentował Darrow – że ich czyn był niedostatecznie zakotwiczony w ich psychice, a zatem nie całkiem był ich własny.

W mowie obrończej Darrow odwoływał się do powszechnego zdziwienia w czasach wojny, do presji emocjonalnej, jaką na młodych ludziach wywiera konieczność narażania się na śmierć (choć sprawcy nie brali udziału w wojnie) i do rozczarowania chrześcijaństwem (choć sprawcy byli bardziej żydowskiego niż chrześcijańskiego pochodzenia). Przypominał, że w Ameryce dzieci bez opamiętania bawią się w wojnę, i że współczesna cywilizacja przemieniła się w barbarzyństwo. W Europie podczas zagazowywania przeciwników zdarzało się, że sto tysięcy ofiar ginęło jednego dnia. Wtedy puszczały wszystkie hamulce. Gdy ginęli Niemcy, wiwatowali alianci, gdy ginęli Francuzi, wszyscy płakali. Takie doświadczenia zmieniają człowieka na zawsze.

Nie muszę przypominać, ilu szlachetnych i zasługujących na szacunek chłopców przewinęło się przez tę salę pod zarzutem morderstwa. Niektórych udało się oszczędzić, inni skazani zostali na śmierć. Ci chłopcy walczyli na wojnie i wtedy przekonali się, jak tanie jest ludzkie życie. Wy to wiecie i ja to wiem. Ci chłopcy wzrastali z takimi myślami. Opowieści o śmierci były w ich domach, na placu zabaw, w szkołach. Czytali o nich w gazetach. Wpadli w wir powszechnego szaleństwa. Czym jest życie? Niczym. To najmniej święta część tego, co istnieje. Ci chłopcy byli zaprawieni w okrucieństwie myślowym (relacja z Internetu).

Darrow w mistrzowski sposób operował zwrotem „ci chłopcy”. Czasami miał na myśli walczących w Europie Amerykanów, czasami stojących przed sądem zbrodniarzy. Sędziowie przysięgli mogli się w tym poplątać i swą sympatię dla bohaterów wojennych nieświadomie przenieść na morderców Franksa. Potem Darrow odczytał na sali sądowej poemat brytyjskiego autora, A.E. Housmana, mówiący o tym, że życie to brnięcie przez noc po omacku.

*Now hollow fires burn out to black,  
And lights are fluttering low:  
Square your shoulders, lift your pack*

Resztki ogniska spalone na czerń,  
Gasnące szczątki wiąże blasku nić:  
Plecak na ramię, nie czekaj na dzień,

*And leave your friends and go.  
 O never fear, lads, naught's to dread,  
 Look not left nor right:  
 In all the endless road you tread  
 There's nothing but the night.*

Porzuć przyjaciół i swą drogą idź.  
 Odwagi, chłopcze, wyruszaj bez trwogi,  
 Musisz do końca maszerować żwawo:  
 Noc się nie skończy, choć zdrętwieją nogi,  
 Nie patrz na lewo, nie zerkaj na prawo.

Jeśli ktoś nie wierzy w siłę poezji, to nie zrozumie tego, co stało się później. Darrow poprosił sędziego, by wybrał między przeszłością i przyszłością. Sędzia nic nie odpowiedział, ale dał się skusić. Uznał, że trzeba oskarżonych ratować. Skazał ich na karę więzienia, czyli Darrow uchronił ich od stryczka. Nie skłamał ani jednym zdaniem przed sądem, ale zrobił wszystko, by ukryć prawdę. Morderców przedstawił jako ofiary barbarzyńskich czasów, skłóconej Europy, nerwowego życia w bulwersowanym niepokojami Chicago. O zabitym Franksie nie mówił nic, bo nie musiał; pokrzywdzonego nie bronił. Sędziemu perswadował, że nie musi kierować się prawem, tylko może zabawić się w Pana Boga i dać nędznikom drugą szansę. Przekonywał, że sąd nie musi na pierwszym planie stawiać kary za zbrodnię. Może się zatroszczyć o przyszłość Ameryki. Niech młodzi Amerykanie mają szansę wydobyć się z demoralizacji, w jaką popadli z winy starszego pokolenia. W każdym argumentie użytym przed ławą przysięgłych, w każdym kroku rozumowania Darrow dał się poznać jako wytrawny adoksograf. Zwodził, perswadował i mieszał proporcje. Ale niczego nie robił na siłę. Przysięgłym pozwolił uznać winę oskarżonych, a sędzięgo zdołał przekonać, że kara dożywocia jest bardziej sprawiedliwa niż kara śmierci. Dziś wszyscy (poza USA i krajami arabskimi) przyznaliby mu rację. Ale czy to znaczy, że Darrow miał też rację w latach dwudziestych w Chicago? Gdyby Darrow-adoksograf miał dziś szansę odezwać się po latach, z pewnością powiedziałby coś takiego: „Czy sprawiedliwość zależy od kalendarza? Jeśli dziś większość wrażliwych ludzi odrzuca karę śmierci, to chyba sąd w Chicago dobrze zrobił nie wymierzając jej zabójcom Franksa?”

I może nawet miałby rację. Na tym polega siła adoksografii. Jawna tendencyjność to nie to samo, co kłamstwo. Oskarżeni otrzymali wyrok: „dożywocie i 99 lat”. Osadzono ich w Stateville Penitentiary. Tam inni więźniowie szybko się zorientowali, że mordercy pochodzą z bogatych rodzin i kazali się opłacać za protekcję. Leopold i Loeb postanowili ułatwić sobie życie i zgodzili się na haracz. Zrobili nierozsądnie. Wymuszona danina stworzyła zagrożenie dla formalnego i nieformalnego układu władzy. Administracja więzienna postanowiła ograniczyć domowe zasiłki Leopolda i Loeba do \$5 tygodniowo na osobę. Ta decyzja bardzo rozsierdziła więziennych prześladowców. Jeden z więźniów, rozzłoszczony utratą stałego dochodu, napadł na Loeba w łaźni i poranił go śmiertelnie brzytwą. Czyli to, co Darrow wywalczył przed sądem, zabrał Loebowi inny zbrodniarz. Leopold wyszedł z więzienia po 33 latach i stał się



przykładnym obywatelem. Skończył nowe studia i został nauczycielem w *college*'u w Puerto Rico. Niejeden adoksograf mógłby powiedzieć, komentując ten bieg wypadków, że czegokolwiek się nie zrobi, to i tak wszystko idzie na marne. To niemal filozofia. Taka labilność spostrzeżeń, tendencja do formułowania myśli w tonie ironicznym lub oportunistycznym, czyni adoksografię dość atrakcyjnym rodzajem retoryki na pierwszy rzut oka. Choć niczym więcej.

## Filozofowie

Po omówieniu stylu argumentacji stosowanej w prawie, Erazm przechodzi do metody rozpowszechnionej w filozofii.

Po nich idą filozofowie, czcigodni dzięki swym brodom i długim płaszczom, ci, co głoszą, że oni to jedynie posiadają mądrość; cała reszta ludzi – to slaniające się cienie. Jakże to oni miło plotą, kiedy tworzą nieskończone ilości światów, kiedy jakby palcem czy nitką wymierzają słońce, księżyc, gwiazdy, kręgi niebieskie, gdy nigdy się nie wahając wykładają przyczyny piorunów, wiatrów, zaćmień ciał niebieskich i innych spraw niewytłumaczalnych – całkiem jakby byli przybocznymi sekretarzami przyrody, budowniczymi świata, jakby przychodzili do nas prosto z narady bogów. A tymczasem przyroda śmieje się do rozpuku z ich teoryj. Bo że niczego oni nie wiedzą na pewno, tego wystarczająco chyba dowodzi to, że ustawicznie wrą między nimi samymi zażarte walki o sprawy, których wyjaśnić się nie da (Erazm: 106).

Ten styl debat filozoficznych, skłonność do wzniecania sporów, w których nie ma żadnego postępu i w których wolno bronić dowolnego stanowiska, pozostaje aktualny do dziś. Nieostrożny filozof potrafi jednym tchem powiedzieć, że wie wszystko i że nie wie niczego. A jeśli tego nie mówi, to jego sposób argumentacji nierzadko dowodzi, że tak myśli.

Moim zdaniem najciekawszy problem inspirowany adoksografią we współczesnej filozofii, to spór na temat paradoksu sceptycznego. Paradoks został sformułowany przez Saula Kripke w książce: *Wittgenstein on Rules and Private Language*. Inspiracją tej pracy były *Dociekania filozoficzne* Ludwiga Wittgensteina, w których autor rozważa problem działania według reguł. Wittgenstein wskazuje, że często nie jest jasne, czy ktoś się kieruje jakąś regułą, czy nie. Jeśli wolno zaproponować własny przykład, to w dzisiejszej Polsce nie wiadomo, jaką regułą kieruje się mężczyzna, który chce być uprzejmy dla spotykanych na ulicy znajomych. Na widok znajomej kobiety zawsze uchyla kapelusza, nigdy nie zdejmuje beretu, czasami uchyla kaszkietu, ale czasami go nie uchyla. Jeśli te trzy rodzaje zachowania są kierowaniem jakąś pojedynczą regułą, to jak brzmi ta reguła? Tak właśnie, jak zostało teraz opisane, czy jakoś inaczej? Ale jeśli tak, to czy ten mężczyzna kieruje się jedną regułą

postępowania, czy trzema różnymi regułami? A w szczególności, co mamy powiedzieć o kaszkiecie? Czy męczyzna kieruje się w ogóle jakąś regułą, jeśli chaotycznie czasem coś robi, a czasem nie? Czy np. rządzi się zasadą: „Robię to, co mi się akurat podoba?” Jeśli tak, to może zawsze działamy według jakiejś reguły, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy? A gdyby to z kolei było prawdą, to działanie według reguł będzie czymś stałym i rutynowym, niezasługującym na osobny opis. Ale czy istotnie jesteśmy gotowi zaakceptować tezę, że każde działanie jest kierowaniem się regułą? Nawet takie, które nam się raczej przytrafia, niż jest przez nas swobodnie wybrane? Niech ktoś np. często przewraca się na lodzie. Czy on też działa według reguły, czy wtedy reguła działa przez niego? Albo czy uznamy za działanie według reguły to, że ktoś kieruje się zasadą losową – jeśli wypadnie orzeł, to zdejmuję kaszkiet, a jeśli reszka, to go nie zdejmuję? A przy założeniu, że wyda się nam niedorzeczne, by brak stałej reguły uznać za regułę, to czy działanie przeciw chaotycznemu mechanizmowi losowemu nie staje się przypadkiem działaniem regularnym? Może jeśli przyjmuję regułę: „Zrobię tak, jak chce moneta”, to działam bez reguł i chaotycznie, natomiast jeśli przyjmę zasadę: „Zrobię inaczej, niż każe moneta”, to moje działanie staje się systematyczne i powinno być uznane za kierowanie się regułą? Oczywiście każda odpowiedź na tak postawione pytania jest arbitralna. Czyli stoimy przed trudnym problemem. A to zawsze otwiera szerokie pole do popisu adoksografom.

Stawiając pytanie o kierowanie się regułami, Saul Kripke chce odróżnić dodawanie od innych operacji arytmetycznych. Wydaje się, że to proste. A jednak nie wiemy w pierwszej chwili, co powiedzieć, gdy Kripke każde nam odróżnić dodawanie od „kwodawania”. Przyjmijmy, że dodawanie to zwykła, znana czynność arytmetycznego sumowania liczb, natomiast „kwodawanie” to czynność nieodróżnialna od dodawania tylko dla liczb, których suma wynosi do 125, natomiast dla wyższych wyników kwodawanie daje zawsze wynik 5. Czyli, jeśli mamy dwoje dzieci, i prosimy, by dodały 15 i 20, to nie możemy ustalić, które dodaje, a które kwodaje. Oboje wykonują tę samą czynność. Dodają w sposób nieodróżnialny od kwodawania. Dopiero gdy poprosimy, by dodawały np. 150 do 250, i przekonamy się, że jedno dziecko podaje wynik 400, a drugie podaje wynik 5, to rozumiemy, że pierwsze dodaje (lub zgaduje), a drugie kwodaje (lub zgaduje).

Jest całkiem możliwe, że ludzie mający jakąś obsesję istotnie myślą w podobnie chwiejny sposób. Nie wiedzą ściśle, co robią. Założmy, że ktoś się panicznie boi myszy, ale innych zwierząt się nie boi. Taka osoba podejdzie do kota, szczura, psa i pająka; ale od myszy ucieka. Jak ona opisuje samą siebie? Prawdopodobnie w słowach: „Ja się zwierząt w zasadzie nie boję. A nawet, jak się nad tym zastanowię, to zdecydowanie powiem, że się zwierząt nie boję. Dopiero gdy napotkam mysz, to odkrywam, że istnieje wyjątek od

tej reguły”. Jest oczywiste, że w świecie bez myszy taka osoba podpada pod ogólny opis ludzi, którzy nie boją się w ogóle żadnych zwierząt. Ona w takim świecie też nie boi się żadnych zwierząt, ponieważ nie ma okazji stwierdzić, na czym polega różnica między „nie baniem się” i „nie mybaniem się”, czyli niebaniem się niczego z wyjątkiem myszy.

Saul Kripke twierdzi, że do sformułowania paradoksu kwodawania zainspirował go Wittgenstein. To wyznanie odnosi się do dwóch fragmentów z *Dociekań filozoficznych*, do jednego pośrednio, do drugiego bezpośrednio. Najpierw omówmy pierwszy fragment.

§ 151 (...) Przedstawmy sobie taki przykład: osoba A pisze ciągi liczb, a osoba B przygląda się i próbuje znaleźć w następstwie liczb jakąś zasadę. Gdy się jej to udaje, woła: „Teraz mogę kontynuować dalej!” – A więc zdolność ta, rozumienie, jest czymś, co pojawia się momentalnie. Zobaczmy zatem, czym jest to, co tu się pojawia. – Osoba A zapisała, dajmy na to, liczby 1, 5, 11, 19, 29; B powiada na to, że teraz wie, jak postępować dalej. Co w takim razie zaszło? Mogły zajść różne rzeczy. Np. gdy A zapisywał powoli liczbę po liczbie, B mógł być zajęty wypróbowywaniem rozmaitych wzorów algebraicznych na zapisanych liczbach. Gdy A napisał liczbę 19, B spróbował wzoru  $a_n = n^2 + n - 1$ , a następna liczba potwierdziła jego przypuszczenie.

Wittgenstein pisze dalej, że osoba B mogła równie dobrze uznać, że ma przed sobą problem arytmetyczny, a nie algebraiczny, i w konsekwencji zdecydowała, że aby uzyskać kolejny wyraz w ciągu A, będzie do ostatniego wyrazu w tym ciągu dodawać kolejną liczbę parzystą. Czyli B do 1 doda 4 i otrzyma 5. Do 5 doda 6 i otrzyma 11, do 11 doda 8 i otrzyma 19 itd. B będzie rekonstruować ciąg podany przez A jako wyrazy: 1, 1+4, 5+6, 11+8, 19+10, 29+12, 41+14, ... itd.

Jak widzimy, mamy tu dwa opisy tego samego ciągu podawanego przez A. Wittgenstein pyta, kiedy B rozumie, co A robi (§ 152): czy wtedy, gdy interpretuje ciąg podawany przez A metodą algebraiczną, czy wtedy, gdy interpretuje go metodą arytmetyczną? Chwila zastanowienia wystarczy, by dostrzec, że i wtedy, i wtedy. Obie metody są równie poprawne. Wittgenstein mógłby to wprost powiedzieć, ale on zawsze unikał wyjaśnień i wołał zagadki.

§ 154. Chwileczkę jednak! Jeśli: „Teraz rozumiem zasadę” nie mówi tego samego, co: „Przychodzi mi na myśl wzór...” (Lub „wypowiadam wzór”, „zapisuję go” itd.) – to czy wynika stąd, że zdania: „Teraz rozumiem...” albo: „Teraz mogę kontynuować” używam jako opisu zjawiska, które stoi za wypowiedzeniem wzoru albo obok niego?

Wittgenstein nie odpowiada na postawione przez siebie pytanie, a więc świadomie lub nie, wciąga do filozofii adoksografów, ludzi, którzy będą dziwować, komplikować sprawę, zastanawiać się, debatować i rozkładać ręce. A odpowiedź jest prosta: „Tak, za obydwojema opisami stoi ten sam ciąg”. Nie ma tu

żadnej zagadki i żadnego paradoksu. Ciąg 1, 5, 11, 19, 29 możemy opisać jako ciąg wyrazów opisanych funkcją:  $a_n = n^2 + n - 1$ , lub jako ciąg wyrazów opisanych funkcją:  $a_n = a_{n-1} + 2n$  dla  $n > 1$  i  $a_1 = 1$ .

Tu jednak czeka nas niespodzianka. Adoksograf działa jak dzin uwolniony z butelki. Raz wypuszczony, do domu nie wraca. Będzie pytać. Jeśli są dwa opisy, to skąd możemy wiedzieć, że odnoszą się do tego samego ciągu? Skąd możemy być pewni, że są to opisy równoważne, jeśli tego nikt nie udowodnił? A jeśli opis ciągu uznamy za regułę, to możemy z kolei zapytać: „Skąd wiemy, o którą regułę chodzi?” – o regułę zdefiniowaną przez jej brzmienie, czy o regułę zdefiniowaną przez wszystkie wypadki jej zastosowania?

W pewnym sensie adoksograf ma rację. Nie umiemy zdecydować, czy jeśli mamy dwie reguły, które prowadzą do tego samego „zjawiska”, to mamy dwie reguły, czy jedną regułę wysłowioną na dwa sposoby. Powróćmy zatem do przykładu z czapką. Załóżmy, że mężczyzna w kaszkiecie chce być grzeczny, ale nie chce być nadgorliwy. Jeśli przyjmie, że wszyscy grzeczni mężczyźni zdejmują kaszkiet, to on też chce zdejmować, jeśli większość tego nie robi, to on też nie chce kaszkietu zdejmować. Rozsądny człowiek zgodzi się, że sprawa jest jasna, tylko chwilowo nierozstrzygnięta. Przyzna, że to, czy kaszkiet będzie „zdzęty”, „uchylony”, „podniesiony”, czy „uchwycony za daszek i potrzymany przez chwilę w ręce” nie ma istotnego znaczenia. Istotne pytanie dotyczy tego, czy zdejmować kaszkiet, czy nie, a nie tego np., czy zdejmować lewą, czy prawą ręką i w jakiej odległości od pozdrawianej osoby. Na to, że tak właśnie rozumiał Wittgenstein sprawę opisu reguł, wskazują uwagi na temat czytania z zamkniętymi oczami, podane przez niego nieco dalej (§ 156). To, moim zdaniem, zamyka sprawę pierwszego fragmentu, do którego Kripke się odnosi, ale na który się nie powołuje. Powołuje się natomiast *explicitie* na paragrafy 201–202 w *Dociekaniach filozoficznych*.

§ 201. Paradoks nasz wyglądał tak: reguła nie może wyznaczać sposobu działania, gdyż każdy sposób działania daje się z nią uzgodnić. A odpowiedź brzmiała: jeżeli każdy sposób działania można uzgodnić z regułą, to każdy można też doprowadzić z nią do sprzeczności. Zatem nie byłoby tu ani zgodności, ani sprzeczności. Że jest to nieporozumienie, widać już stąd, że w rozumowaniu tym podajemy interpretację za interpretacją; jak gdyby każda zadowalała nas na chwilę, dopóki nie pomyślimy o następnej. (...)

§ 202. Dlatego „kierowanie się regułą” jest pewną praktyką. A sądzić, że się kierujemy regułą, to nie to samo, co kierować się regułą. (...)

Najpierw weźmy pod uwagę możliwość, że Wittgenstein uważa sprawę paradoksu za zamkniętą. Używa czasu przeszłego: „paradoks nasz wyglądał tak”. Taką wersję podaje polskie tłumaczenie *Dociekań*, natomiast tłumaczenie książki Kripkego *Wittgenstein o regułach...* daje w tym miejscu czas teraźniejszy:

„Paradoks nasz wygląda tak...” (Kripke 2007: 21), sugerując, że paradoks jest nierozwiązany. Polskie tłumaczenie nie mogło oczywiście wpłynąć na poglądy Kripkego, niemniej jest to tłumaczenie kongenialne, bo choć niedokładne, zbiega się z intencjami Kripkego, który istotnie uważa, że paradoks jest nierozwiązany. Sądzi tak mimo tego, że sam cytuje Wittgensteina poprawnie: „this was our paradox...” (Kripke 1982: 7).

Trzeba się jednak trzymać oryginału. Wittgenstein mówi: Paradoks wyglądał tak a tak, i – kontynuuje Wittgenstein – paradoks miał odpowiedź, czyli znaleziono dla niego rozwiązanie. Odpowiedź brzmiała: „jeżeli każdy sposób działania... to każdy można doprowadzić do sprzeczności”. Uważam, że Wittgenstein wprowadza tu *reductio ad absurdum*. Pisze, że jeśli każdy sposób postępowania będzie można uznać za zgodny z jakąś regułą, to wtedy także i odwrotne postępowanie (cokolwiek by to znaczyło) będzie zgodne z regułą. Zatem szerokie rozumienie reguł prowadzi do sprzeczności. Z czego płynie praktyczny wniosek: nie róbnmy tego. Nie przyjmujemy, że każde postępowanie jest zgodne z każdą regułą.

Wiemy, że naiwnością jest twierdzić, że jeśli jakieś stanowisko jest niedorzeczne, to zapewne jego autor nie miał go na myśli. Co więcej, wiemy już, że adoksografowie celowo wprowadzają twierdzenia niedorzeczne (choć zazwyczaj robią to skrycie, choć nie mimochodem) i w śledzeniu adoksografii trzeba zachować umiar, by nie przypisywać zamiaru „pisania pokretnego” nikomu innemu prócz osób zaślepionych jakąś teorią lub mających wyrobione poczucie dowcipu. Jednak Wittgenstein nie miał ani skłonności do dogmatyzmu, ani nie miał poczucia humoru. Tak więc to Kripke jest adoksografem, nie Wittgenstein.

Nie mamy podstaw przypisać Wittgensteinowi poglądu, że mógłby uznać, iż wyciągnięcie wody wiadrem ze studni jest np. osobliwym sposobem rozpalania ogniska. Zakres dowolności przy interpretacji reguł musi być znacznie węższy. Jeśli wyciągam wodę ze studni, to nie ma znaczenia, czy kręcę kołowrotem lewą, czy prawą ręką, ani czy mam w kieszeni 2 zł, 5 zł, czy nic. Zatem istnieją właściwe i niewłaściwe, celowe i bezcelowe sposoby działania, i tylko poprawne działania podlegają regułom. Np. ogniska nie rozpala się wodą. To właśnie sugeruje przykład z dwiema funkcjami opisującymi ten sam ciąg. Przykład ten pokazuje, że ten sam ciąg można opisać albo jako ciąg wyrazów:  $a_n = n^2 + n - 1$ , albo jako ciąg wyrazów:  $a_n = a_{n-1} + 2n$  dla  $n > 1$  i  $a_1 = 1$ . Można go ponadto opisać na nieskończenie wiele innych sposobów, różniących się od siebie tylko trywialnymi szczegółami („podajemy interpretację za interpretacją...”). W jaki sposób? Np. w obu funkcjach występuje liczba dwa, którą można zapisać, jak kto chce: 2, 3-1, 4-2, 5-3, 6-4 itd. § 201 mówi, że każde kierowanie się regułą może mieć wiele różnych interpretacji i żadna nie jest ostateczna, ponieważ zadowala nas tylko przez chwilę. Nie mówi jednak

– i to jest rozstrzygające – że ten sam ciąg da się opisać na nieskończenie wiele sposobów i w tym także w sposób sprzeczny. Kripke sądzi, że Wittgenstein przeraża się perspektywą, że trzeba będzie zaakceptować sprzeczności, i dlatego wyklucza w ogóle możliwość ścisłego opisu reguł. Czyli nie tylko wyklucza istnienie wyjątkowego i wyróżnionego opisu, eliminującego wszelkie inne, ale nie ufa żadnej interpretacji. I z tego właśnie powodu rzekomo nie wiemy, kto dodaje, a kto kwodaje.

Popatrzmy z bliska na opis sceptycznego paradoksu podany przez Kripkego.

Oto więc jest sceptyczny paradoks. Gdy na problem w rodzaju pytania o sumę „68+57” odpowiadam w taki a nie inny sposób, nie mogę mieć żadnego uzasadnienia wyboru tej właśnie odpowiedzi. Skoro nie można nijak odeprzeć zarzutu sceptyka twierdzącego, że miałem na myśli kwos, nie istnieje żaden związany ze mną fakt odróżniający to, że mam na myśli plus, od tego, że mam na myśli kwos (Kripke: 42).

To są poglądy Kripkego; nie mamy jednak powodu przypisywać tych poglądów Wittgensteinowi, sobie, lub jakimkolwiek innym czytelnikom Kripkego. Kripke uważa, że kiedykolwiek ktoś dodaje, to ludzie stojący przy nim nie mogą mieć pewności, czy liczący wykonuje dodawanie, czy kwodowanie. Jeśli dodaje 3 do 5, to nie ma faktu, który by rozstrzygał, co on robi. Będzie to można odróżnić dopiero wtedy, gdy zacznie dodawać liczby dające sumę większą niż 125.

Kripke zwraca tu uwagę na pewien trywialny fakt, ale nie wskazuje na żaden paradoks. Jeśli ktoś robi coś, co wybrał, np. gra w szachy, to nie wiadomo, czy w innych okolicznościach będzie robić to samo, czy coś innego, czego na razie nie wybrał, np. kompletem do szachów grać w warcaby. Widzimy, co robi dziś, nie wiemy, co zrobi jutro. Podobnie, jeśli ktoś sumuje duże liczby, wiemy, czy dodaje, czy kwodaje. Jednak gdy sumuje małe liczby, to nie wiemy, co robi, jeśli się weźmie za większe. Gdzie tu jest paradoks? Dodawanie i kwodowanie to jasno opisane operacje, których wykonanie czasem da się stwierdzić, a czasem nie. Do sumy 125 nie wiadomo jak kto liczy, dla większych wyników wiadomo. Rzekomy paradoks to filozoficzna wariacja na temat „nowego paradoksu indukcji” Nelsona Goodmana. Kripke sam to przyznaje (Kripke 1982: 20, 58).

Możemy wprowadzić do języka terminy, które mają niewygodnie szeroki lub niewygodnie wąski zakres. Możemy np. wprowadzić słowo „ziebieski”, które będzie się odnosić do przedmiotów obecnie zielonych, a w przyszłości niebieskich. Słowo to jest dziwaczne i kłopotliwe, ponieważ nie wiemy, jakie zielone przedmioty przemienią się w przyszłości w niebieskie. Większość przedmiotów zapewne tego nie robi, ale np. auto należące do filozofia może spotkać taki właśnie los. Zwolennik Goodmana może kupić sobie zielone auto



z postanowieniem, że po pięciu latach przemaluje je na niebiesko. Wtedy, ściśle biorąc, już w dniu zakupu ma on auto ziebieskie, a nie zielone. Tak by było w istocie nawet wtedy, gdyby nie myślał jeszcze o przemalowaniu auta i ten pomysł wpadł mu później do głowy. Rozstrzygające są nie zamiary, tylko historia przedmiotu.

Rzekomy paradoks powstaje zatem dlatego, że jeśli ktoś wykonuje jakies obliczenie, to kusi nas opisywać nie to, co teraz robi, tylko stwierdzić, co będzie robić zawsze. Jeśli teraz dodaje 200 do 300 i mówi 5, to widzimy, że kwodaje, i gotowi jesteśmy powiedzieć, że będzie zawsze kwodawał. Niepotrzebnie poszerzamy zakres dokonywanego opisu. Tymczasem każdy może zdecydować np., że w parzyste dni będzie dodawać, a w nieparzyste kwodawać. Podobnie jest, jeśli używamy słowa „ziebieski”, choć to słowo ma niewygodnie wąskie użycie. Kripke bez uzasadnienia oczekuje, żebyśmy zawsze odróżniali dodawanie od kwodawania, przypisując tym terminom niewygodnie szerokie użycie. W jego idiolekcie dodawać nie znaczy „teraz dodawać”, tylko „dodawać teraz i jeszcze kiedyś”. Tylko przy tym założeniu nie wiemy, czy ktoś dodaje, czy kwodaje. Bez tego założenia paradoks nie powstaje.

Gdy zatem Kripke wciąga się w rozważania na temat introspekcji, to pozwala sobie na świadome dezorientowanie czytelnika, czyli na adoksograficzny wybryk. Píše, że liczący sam nie wie, czy dodaje, czy kwodaje, jeśli trzyma się wyników poniżej 125. To prawda. Jest oczywiste, że nie wie, ponieważ nie da się wiedzieć. Oba opisy są równoważne. 2 plus 5 jest siedem i 2 kwus 5 jest siedem. Snucie przypuszczeń, że w tej sytuacji za kryterium mógłby służyć np. ból głowy, który by się pojawiał zawsze przy kwodawaniu, ale nie przy dodawaniu, to typowy adoksograficzny „czerwony śledź”.

Tak więc: gdyby istniało specjalne, podobne do bólu głowy doświadczenie tego, że używając „plus” „ma się na myśli” dodawanie, nie miałyby ono pewnych cech, które stan, iż używając „plus” ma się na myśli dodawanie, powinien posiadać – nie powiedziałoby mi, co robić w nowych przypadkach (Kripke 2007: 74).

Zacytowane tu tłumaczenie jest wierne, ale trudne, bo oryginał jest mętny. Kripke chce powiedzieć, że gdybyśmy wyraźnie doświadczali chęci dodawania, gdy mówimy „plus”, i ta chęć była tak wyraźna jak ból głowy, to i tak ten ból nie miałby tych właściwości, które powinien posiadać, jeśli ma służyć do przewidywania naszych dalszych zachowań. Kripke ma rację, ale odrzuca jakąś księżycową hipotezę. Dlaczego ból głowy ma mieć moc predyktywną? A jeśli nie ma mieć i mieć nie może, to dlaczego nie wystarczy uznać, że jeśli ktoś chce kwodawać na małych liczbach, to skutecznie udaje mu się kwodawać na tych liczbach, choć w tym samym czasie także dodaje te liczby? Ani kwodawanie w jednostkowym przypadku, ani dodawanie w jednostkowym przypadku

nie ma mocy predyktywnej. A jeśli Kripke serio pyta, co należy zrobić, by kolejne dodawanie było dodawaniem, a nie kwodowaniem, to odpowiedź jest bardzo prosta – trzeba chcieć dodawać. To się zawsze udaje.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że książkę Kripkego wzięto jako dzieło „doksografa”, czyli pracę ujawniającą trudności, które trapią autora szukającego prawdy, a nie jako dzieło „adoksografa”, czyli jako „przewrotne pisanie”. Czymś zadziwiającym jest np. artykuł Ruth Garrett Millikan, w którym autorka godzi się z Kripkem, że sceptyczny paradoks istnieje, tylko uważa przeciw Kripkemu, że można ten paradoks rozwiązać. Zwraca w związku z tym uwagę na fakt, że sceptycznej dezorientacji nie ulegają np. owady, jest zatem mało prawdopodobne, żeby musieli jej ulegać ludzie. (To rozumowanie brzmi trochę tak, jakby ktoś twierdził, że bociany chodzą na dwóch nogach, więc ludzie prawdopodobnie też chodzą na dwóch nogach). Millikan zgadza się z Kripkem, że znaczenie językowe lub teoretyczne nie jest ani stanem świadomości, ani daną poznawczą. Nie pojawia się jako coś integralnego w świadomości. Z pewnością nie jest wyłącznie treścią myśli i przedstawię. Jest zatem czymś realnie istniejącym także poza świadomością (Millikan: 326). A jeśli przyjmiemy, że dodawanie zachodzi także, a może głównie, poza świadomością, to mamy prawo pytać, jaki fakt stwierdza zachodzenie dodawania. W szczególności wolno zapytać – choć Millikan tego nie robi – co się dzieje w kulturach, które nie umieją liczyć. Czy tam też zachodzi dodawanie przez nikogo nie rejestrowane? Czy np. trzy drzewa na polu są tam tylko drzewami na polu, ale już nie trzema drzewami na polu? Albo czy w mrowisku lub w ulu istnieją liczby i zachodzą jakieś stany ilościowe, o których nikt nie myśli? Np. czy jest to faktem, że w mrowisku mrówek jest dużo, albo bardzo dużo, czy też to nie jest fakt, tylko opinia o fakcie? Millikan nie wciąga się w rozważania na temat źródeł obiektywności matematyki, tylko uznaje za Kripkem, że nie istnieje żaden fakt, któremu odpowiada symbol „+” (Millikan: 327). W szczególności zatem nie da się ustalić, czy ktoś dodaje, czy kwodaje.

Millikan odnosi się tu do znanego w filozofii przekonania, że stany modalne nie wyrażają się w faktach. Żaden fakt nie świadczy o tym, że coś jest możliwe lub że jest konieczne. Fakty mówią tylko o tym, co jest faktyczne. To łatwo może prowadzić do podejrzenia, że matematyka jest jakimś złudzeniem lub zmyśleniem, ponieważ wskazuje na konieczności, a nie na fakty. Ale to jest tylko kolejna adoksografia, nie wiadomo czym motywowana. Sądzę, iż najprostszym wyjściem jest uznać za Bertrendem Russellem, że relacje logiczne są tak samo realne jak przedmioty materialne, i jak one należą do realnego świata.

Millikan proponuje jednak uchwycić różnicę między dodawaniem i kwodowaniem w kategoriach dyspozycji i kompetencji, strzegąc się jakichkolwiek odwołań do intencji. Dobrze. Przyznaje też, że w zasadzie każdy, kto chce

dodawać, ten dodaje, i każdy, kto chce kwodawać, ten kwodaje. To też dobrze. Wreszcie podkreśla, że te dwie czynności nie mogą się różnić od siebie tylko swą reprezentacją psychiczną. To wręcz bardzo dobrze. Podobnie jak Wittgenstein i Kripke, i podobnie jak wielu innych filozofów, Millikan twierdzi, że matematyka to nie psychologia. Czym więc jest? Osobną nauką? Tym też – zgadza się Millikan – ale przede wszystkim matematyka jest pewnym zachowaniem biologicznym. Dodawanie i kwodowanie można opisać jako dyspozycje do celowego działania, a wszelkie celowe działania u ludzi przebiegają w sposób zasadniczo podobny do zachowań innych organizmów. Pod tym względem jesteśmy podobni np. do bzygów (*Syrphidae*) – czyli muszek przypominających niewielkie pszczoły, z charakterystyczną tendencją do nieruchomego zawisania w powietrzu. Otóż bzygi rozmnażają się przez powietrzne ataki samców na samice. Męski bzyg tkwi nieruchomo nad łąką i czeka na przelatującą lotem błyskawicy samicę (średnio 8 m/sek). Gdy ją spostrzeże, rzuca się na nią i ją zapładnia w locie. (Millikan sugeruje, że samice mogą odmówić kontaktu, ale rytuału odmowy nie opisuje). Męskie bzygi potrafią czekać godzinami w powietrzu. Są przy tym tak celowościowo nastrojone, że jeśli przelatuje mucha, odległy ptak lub nawet wiór drewna, to też się rzucają w ich stronę (Millikan: 333).

Gdzie tu jest problem filozoficzny? Otóż dobrze by było zdecydować, jakie kompetencje lub dyspozycje możemy przypisać bzygom, i warto się zastanowić, czy podobny rodzaj dyspozycji nie wystarczy, by odróżnić dodawanie od kwodowania. Millikan przekonuje, że tak. Zaczyna od tego, że przypisuje bzygom zdolność kierowania się regułami. Więcej nawet, wprost widzi tę zdolność w zachowaniu tych owadów. Męski bzyg startując wybiera kierunek styczny do lotu samicy i nie myli się o więcej niż bodaj 10°. Millikan ma zatem żelazny argument przeciw Kripkemu. Jeśli uznamy, że bzygi znają się na regułach celowego latania, to byłoby co najmniej niezgrabne powiedzieć, że ludzie nie potrafią się kierować regułami. Millikan nie bagatelizuje jednak trudności, z którymi boryka się Kripke, i przystępuje do szczegółowego opisu kompetencji bzygów. Otóż według współczesnych teorii biologicznych, na których Millikan zna się doskonale, bzygi mają dwie wrodzone umiejętności. Ich zachowanie podlega dwóm regułom: *Proximal Hoverfly Rule* i *Distal Hoverfly Rule*. Obie zostały szczegółowo opisane w piśmiennictwie i ich występowanie nie może budzić wątpliwości. Proksymalna Reguła Bzygowania polega na wytworzeniu na siatkówce oka obrazu szybko przemieszczającego się małego obiektu latającego. Dystalna Reguła Bzygowania polega na przechwytywaniu uciekającego obiektu w locie (Millikan: 336). Bzygom udaje się mieć potomstwo, twierdzą biolodzy, ponieważ motywem stosowania Reguły Dystalnej jest wcześniejsze posługiwanie się Regułą Proksymalną (w skrócie: co w oczach, to w skrzydłach). U ludzi kompetencja polegająca na liczeniu powstaje podobnie.

Mamy wewnętrzne mechanizmy wykonywania dodawań i wykonywania kwodawań (prawdopodobnie jest to ten sam mechanizm neuronalny), i te czynności składają się na reguły proksymalnej arytmetyki. Ponadto w realnym życiu dość często pojawiają się sytuacje, w których potrzebne nam jest dodawanie. Wtedy zastosowanie mają reguły dystalnej arytmetyki (Figaro musi obmierzyć i zaplanować małżeńskie łożo, my musimy obliczyć podatek lub zdecydować, czy na jednym baku paliwa dojedziemy do celu). Kwodowanie natomiast nie ma żadnego zastosowania (poza dyskusjami filozoficznymi), więc w ogóle nie musimy go odróżniać od dodawania. Kwodowanie jest zbędne, ponieważ nie ma reguły dystalnej, podobnie jak jej nie ma doganianie wiórów w powietrzu. Jeśli bzyg daje się oszukać swej namiętności – to znaczy kieruje się tylko regułą proksymalną, a nie dystalną – zostanie bez dzieci.

Zatem jeśli tylko nie doszło na skutek kompletnej dezintegracji systemu poznawczego do zablokowania operacji arytmetycznych, to musimy mieć na myśli, gdy używamy znaku „+”, dokładnie to, co zostało wyznaczone przez nasze doświadczenie i przez mechanizm ewolucji (Millikan: 343).

Czyli nie musimy umieć dobrze opisywać reguł. Wystarczy, że je dobrze stosujemy, tak jak bzygi. Co więcej, nie mamy żadnego powodu przypuszczać, że dodawanie może się nam kiedykolwiek pomylić z kwodowaniem. Paradoks sceptyczny wymyślony przez Kripkego jest teoretycznie mało ciekawy i praktycznie bez znaczenia – uważa Millikan, i znów ma rację. To nie jest adoksografka.

W sumie – jak widzieliśmy – paradoks opiera się na nietrafnym odczytaniu tekstu Wittgensteina, bo Wittgenstein nie mówił, że każda czynność może być uznana za zastosowanie dowolnej reguły, tylko że nie istnieje wyróżniony opis dla żadnej reguły. W konsekwencji trudność z odróżnieniem dodawania od kwodowania wynika tylko z apriorycznego i bezzasadnego sceptycyzmu. Nie ma żadnego paradoksu. Potrafimy kwodowanie zdefiniować i potrafimy je odróżnić od dodawania, potrafimy dodawanie zdefiniować i odróżnić je od kwodowania. Nie potrafimy tylko wybrać, czy ktoś dodaje, czy kwoduje, jeśli jednocześnie robi jedno i drugie. Na dodatek mechanizm działania celowego jest u nas taki sam jak u zwierząt. Propozycja Kripkego, byśmy stali się radykalnymi sceptykami, jest ponurym ćwiczeniem z adoksografii. Powinniśmy uznać, że w ogóle nie należy pytać, jak wygląda rozwiązanie paradoksu sceptycznego, bo taki paradoks nie istnieje. Jest tylko dezorientującym wynalazkiem adoksografa.

## Teologowie

U Erazma Głupota mówi:

Co do teologów, to może by lepiej było, gdybym ich pominęła milczeniem, „nie tykając bagna Kamaryńskiego”, ani nie ruszając śmierdzącego ziółka, bo rodzaj to ludzi okrutnie wyniosłych i drażliwych: mogliby uderzyć na mnie tysiącem sylogizmów i zmusić do odszczekania, a gdybym się wzbraniała, okrzycząc za heretyczkę. Bo oni to z miejsca grożą takim spiorunowaniem, jeśli na kogo nie łaskawi. Ale doprawdy, choć nie znalazłbyś nikogo, kto by mniej chętnie od nich uznawał moją dla siebie dobroczynność, to jednak niemało mają oni do tego tytułów, skoro szczęśliwi dzięki służącej im sobie miłej Filautii sami niby trzecie niebo zamieszkują, bo z tak wysoka patrzą z góry na wszystkich śmiertelnych niczym na pełzające po ziemi bydłęta, dla których mogą mieć jedynie politowanie. Obwarowani tyloma szańcami szkolnych definicji, wniosków, wniosków uzupełniających, sądów wyraźnych i domyślnych, jeżą się tyloma świeżo wymyślonymi terminami i cudacznymi formułami, tyloma rozporządzają wybiegami, że nawet Wulkan nie potrafiłby ich pochwyć w swoje czarodziejskie pęta tak, aby się nie wymknęli dzięki swemu *distinguo*, którym wszystkie więzy tną łatwiej niż topór sędziego na wyspie Tenedos. Mądrym swoim dociekaniem wyjaśniają ukryte tajemnice, na przykład: jak to świat został stworzony i urządzony, jakimi to kanałami przeciekła do potomności owa zaraza grzechu pierwotnego, jak, w jakiej mierze i w jakim czasie poczęty został Chrystus w żywocie Dziewicy-Matki, jak w Eucharystii utrzymują się akcydensy bez podłoża substancji. To zresztą są dla nich już sprawy powszednie. Wielkich – i jak oni to nazywają – natchnionych teologów godne są ich zdaniem dopiero takie sprawy (i na te wpadłszy dopiero budzą się ze snu), jak: Czy Bóg potrzebuje jakiegoś czasu na stworzenie czegoś? Czy istnieje więcej synostw w Chrystusie? Czy możliwy jest sąd: Bóg Ojciec nienawidzi Syna? Czy Bóg mógłby przyjąć postać kobiety, albo diabła, albo osła, albo dyni, albo kamienia? Gdyby zaś tak, to w jaki sposób jako dynia wygłaszałby kazania, czyniłby cuda, zostałby ukrzyżowany? Co konsekrowałby Piotr, gdyby był dokonywał konsekracji chleba i wina w czasie, gdy ciało Chrystusa wisiało jeszcze na krzyżu? I czy w tym samym czasie można było nazwać Chrystusa człowiekiem? I czy po zmartwychwstaniu będzie się godziło jeść albo pić? – jako że oni już teraz chcieliby się zabezpieczyć przeciw głodowi i pragnieniu w owej chwili. A jest jeszcze niezliczona ilość takich drobiazgowych roztrząsań, od tych wymienionych tu jeszcze subtelniejszych, o jednostkach czasu, pojęciach, stosunkach, formie, o kwiddytetach i ekceitetach – rzeczach, których nikt nie potrafi dojrzeć, chyba gdyby był takim Linceuszem, że nawet w najgłębszych ciemnościach potrafiłby zobaczyć to, czego w ogóle nie ma. A dodać do tego te ich moralne zasady, tak sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, że owe rozumowania stoików, zwane paradoksami, są przy nich jeszcze najprostszym, najcodzienniejszym chłopskim gadaniem. Na przykład to, że „mniejszym jest grzechem zamordować tysiąc ludzi niż raz, w niedzielę, załatać but nędzarza”. Albo że „lepiej dopuścić do tego, aby cały świat przepadł – jak to mówią – z kretesem, aniżeli powiedzieć jedno jedyne, choćby nie wiem jak malusieńkie kłamstewko” (Erazm: 107–110).

Wśród współczesnych teologów wybitnym adoksografem jest Alvin C. Plantinga, autor książki: *Bóg, wolność i zło*. Ostatni rozdział tej książki prezentuje argument ontologiczny w wersji, którą autor określa jako: „Argument triumfujący” (Plantinga: 159). Plantinga przyznaje, że w przeszłości prawdopodobnie niewielu ludzi zostało nawróconych przez św. Anzelma (Plantinga: 125). Nie wyklucza jednak, że w nowej wersji, korzystającej z pojęcia konieczności, argument ontologiczny może się wydać bardziej przekonujący niż w wersji tradycyjnej, ograniczającej się do porównania bytów teoretycznie możliwych.

Do tych wstępnych założeń Plantinga dodaje deklarację metodologiczną na temat wnioskowania. Jest mianowicie zdania, że istnieją argumenty, które są trafne, choć nie stanowią dowodu. Podaje przykład takiego argumentu:

Albo Bóg istnieje, albo  $7+5=14$ .

Nieprawda, że  $7+5=14$ .

Zatem Bóg istnieje.

(Plantinga: 161)

Na jakich warunkach podobne rozumowanie może być uznane za trafne? Plantinga oświadcza, że wierzy w Boga, a zatem za prawdę uznaje twierdzenie: „Bóg istnieje”. Chce przyjąć to założenie jako przesłankę swego rozumowania i oczywiście ma prawo tak zrobić. Ma też rację, że jeśli jeden z członów alternatywy jest prawdziwy, to dla wartości logicznej całego zdania nie ma znaczenia, jaką wartość logiczną ma drugi człon. Czyli prawdziwość całego zdania: „Albo istnieje Bóg, albo  $7+15=14$ ” jest zagwarantowana przez założenie o istnieniu Boga, a doczepione fałszywe twierdzenie matematyczne nie odgrywa w rozumowaniu żadnej roli. Nie jest natomiast jasne, co Plantinga myśli o zasadzie, że jeśli wniosek jest powtórzeniem jednej z przesłanek, to nie może być silniejszy od tej przesłanki. Jeśli szanuje tę zasadę, to musi przyznać, że wniosek o istnieniu Boga jest tak silny, jak założenie o istnieniu Boga wyrażone w przesłance. A ponieważ Plantinga przyjmuje przesłankę o istnieniu Boga w oparciu o wiarę, to i wniosek mówi tylko, że zgodnie z wiarą Plantingi Bóg istnieje, i nic więcej.

Ciągle więc otwarte pozostaje pytanie, na czym polega cały ten argument. Ja w nim widzę tylko adoksografię. Ten argument to redundancja niczym nieosłonięta i nieupiększona. Jej rzecznik wychodzi na scenę, pokazuje przezroczysty cylinder, w którym nic nie widać, i dodaje, że jeśli chcemy, możemy sobie wyobrazić, że w środku jest królik. Robi coś, co robią wszyscy inni magicy, tylko chce budzić większą sympatię, ponieważ postępuje bardziej otwarcie i jawnie. Zwykły prestidigitator udaje, że w cylindrze nie ma królika, a potem okazuje się, że królik był – czyli zwodzi. Plantinga nie udaje i nie zwodzi. Przyjmuje założenie i powtarza to założenie. Może nie robi nic



odkrywczego, ale chyba liczy na uznanie, na które może nawet zasługuje, ale tylko jako adoksograf.

Jego argument jest całkiem bezwartościowy, ponieważ podważa powszechnie przestrzegane w logice wymaganie, by w rozumowaniu wniosek nie był identyczny z przesłanką. Logicy słusznie przyjmują, że nie można uzasadnić żadnej tezy przez jej proste powtórzenie. Plantinga uważa inaczej. Redundancję uznaje za rozumowanie „trafne”, choć niemające siły dowodu. Tylko że „trafne” nic tu nie znaczy, ponieważ w jego argumentacji nie ma żadnego rozumowania. Plantinga używa słowa „argument” w nowym, trywialnym sensie i tylko na osobach nieobeznanych w sofizmatach może sprawiać wrażenie, że cokolwiek ustala. Adoksografowie wybierają sobie zwykle bardziej wymagającą publiczność.

Przejdźmy jednak do „triumfującej” wersji argumentu ontologicznego. Opiera się ona na kilku tezach połączonych w wieloogniowy łańcusznik:

- (29) Jest taki możliwy świat, w którym maksymalna wielkość jest zrealizowana.
- (30) Jest konieczne, że byt jest maksymalnie wielki tylko wtedy, gdy ma maksymalną doskonałość w każdym możliwym świecie.
- (31) Jest konieczne, że byt ma maksymalną doskonałość w każdym świecie tylko wtedy, gdy posiada wszechwiedzę, wszechmoc i moralną doskonałość w każdym świecie.
- (32) Jest konieczne, że coś jest jednorozcem tylko wtedy, gdy ma jeden róg.

(Plantinga: 159–160)

Zdaniem Plantingi, wyklucza to tezę:

- (33) Nie ma bytu wszechmocnego, wszechwiedzącego i moralnie doskonałego.

Chcę tu zaproponować dość oczywistą interpretację tego „trafnego” rozumowania. Teza (29) przyjmuje jako założenie, że istnieją zbiory uporządkowane i nieuporządkowane. W pewnych zbiorach uporządkowanych można osiągnąć uporządkowanie liniowe. Można też trafić na zbiór uporządkowany liniowo i niebędący zbiorem nieskończonym. Wtedy w takim zbiorze istnieje element „największy” lub „najdoskonalszy”. Jest ponadto możliwe, że nasz świat – bez względu na to, jak daleko on sięga – jest takim zbiorem. Tezie (29) nie można nic zarzucić, bo jest hipotetyczna i niesprzeczna.

Teza (30) przyjmuje jako założenie, że oprócz naszego świata istnieje jakaś ilość – może nieskończona – światów możliwych. Otóż jeśli tak jest, to możemy żądać, by element największy w naszym świecie był uznany za największy *tout court* dopiero wtedy, gdy zostanie stwierdzone, że jest on największy w każdym możliwym świecie. Póki to nie zostało ustalone, nie wolno go nazywać „maksymalnie wielkim”. To jest w gruncie rzeczy propozycja terminologiczna. Przez analogię moglibyśmy zaproponować, żeby za najcięższe zwierzę uważać nie ten egzemplarz, który jest najcięższy w swoim gatunku, ale taki, który jest najcięższy i w swoim gatunku, i między okazami

wszystkich gatunków. W filozofii religii miałyby to znaczyć, że jeśli istnieje wiele światów i w jakimś świecie istnieje osoba najmądrzejsza, najsilniejsza i najmoralniejsza, to ona jeszcze nie jest Bogiem, o ile w innym świecie istnieje osoba doskonalsza pod tymi względami. Rozważmy jeszcze bardziej konkretny przykład. Wyobraźmy sobie, że jakiś meteor wybija na Ziemi 99% wszystkich organizmów. Nie ma już w ogóle ludzi, psów, delfinów itp. Został jednak w Indiach jeden wielki, mądry i spokojny słoń. Moglibyśmy pomyśleć, że ten słoń stał się Bogiem. Tak jednak nie wolno nam pomyśleć, ponieważ przed kataklizmem, a więc w innym możliwym świecie, żyli na Ziemi ludzie, i to ktoś z nich – może jakiś ofiarny i niestrudzony lekarz – był w sumie mądrzejszy, silniejszy i moralniejszy od tego słonia. To samo powinniśmy teraz pomyśleć o naszej tradycji religijnej. Może na naszej Ziemi, a może na jakiejś innej planecie istniał kiedyś ktoś doskonalszy od najdoskonalszego z ludzi i może ten ktoś miał olbrzymią mądrość, ale przestał jej używać, gdy zaprzestał dyktowania świętych ksiąg prorokom. Może miał olbrzymią moc, ale zaprzestał jej używać po rozepchnięciu wód Morza Czerwonego, by pozwolić przejść ludziom kierowanym przez Mojżesza. Może był najbardziej moralny, tylko był arystotelikiem i cnotę definiował nie przez działania, tylko przez łatwość podejmowania właściwych decyzji. Jeśli ktoś taki istniał lub istnieje do dziś – niewidoczny, dyskretny i powściągliwy w działaniu – to on jest Bogiem i innego Boga nie ma, ponieważ on jest pod każdym względem najdoskonalszy.

Teza (31) jest tezą religijną i jej treść jest uszczegółowieniem wymagania zawartego w (30). Teza (32) służy do wykazania, że pewne przedmioty mają w sobie coś istotnego – jednorożec musi mieć pojedynczy róg, Bóg musi mieć trzy cechy składające się na doskonałość.

Teza (33) mówi, że nie jest zdaniem wewnętrznym sprzecznym twierdzić, że Bóg istnieje. Tezy tej z całą pewnością nie obala – choć w żaden sposób też jej nie wzmacnia – przypuszczenie, że nie istnieją zbiory skończone, bo takiego przypuszczenia nikt nie formułuje. Odwrotnie, sądzimy, że istnieją zbiory skończone, i na żądanie podajemy dowolną ich ilość. Podobnie tezy (33) nie podważa przypuszczenie, że nigdy nie da się przeprowadzić uporządkowania w zbiorach skończonych, bo takiego przypuszczenia też nikt nie formułuje. Odwrotnie, wiemy, że np. zbiór liczb od 1 do 1000 da się uporządkować liniowo. Czyli (33) nie jest zdaniem niemożliwym. A mówiąc precyzyjnie, jeśli niesprzeczność tezy, że Bóg istnieje, może być uzasadnieniem dla tezy, że Bóg istnieje, to Bóg istnieje. Tylko nie wolno zapominać, że olbrzymia liczba niesprzecznych opisów odnosi się do innych przedmiotów wyobrażonych, lecz nieistniejących. Nie istnieje Jerozolima brukowana złotem, nie istnieje rzeka, w której woda płonie, nie istnieje próżniowa bańka w środku jądra Ziemi itd. Zapewnienie, że jakaś teza jest niesprzeczna, w żadnym razie jej nie uzasad-

nia. Wyklucza jeden z możliwych powodów podważenia jej wiarygodności, nie dotykając pozostałych.

Oczywiście trudno z góry zakładać – i tu Plantinga ma pozór racji – że nie istnieje coś najdoskonalszego we wszystkich światach ocenianych łącznie. Tylko czy umiemy sobie coś takiego wyobrazić, i czy to będzie Bóg? Może w czasach dinozaurów był to patagoński zauropod (77 ton) – wielki, spokojny, coś tam myślący. Może za tysiąc lat będzie to robot podnoszący zauropody i posługujący się najlepszym wydaniem *Encyklopedii etyki* plus *Wikipedii*. Może za milion lat będzie to najcięższa gwiazda we wszechświecie, która potrafi wszystko spalić, wszystko przyciągnąć i ostatecznie przemienić się w największą czarną dziurę, w której wszystko zniknie. Czy bardziej naturalne jest przyjąć, że opisowi z tezy (31) lepiej odpowiada postać z Księgi Rodzaju? Nie wiem dlaczego. Mam nawet wątpliwości, czy Plantinga wie, co stara się udowodnić, i jak ostatecznie brzmi argument, który został przez niego nazwany „argumentem triumfującym”. Czy jest to łańcusznik kończący się tezą (33)? Zbyt gorliwie nas o tym zapewnia, by nie powstało podejrzenie, że zapewnia przy tym i siebie.

Co powiemy o takiej argumentacji? Jest z pewnością poprawna; z jej przesłanek wynikają wnioski. Jedyne interesujące pytanie dotyczy, jak mi się zdaje, tego, czy prawdziwa jest główna przesłanka – o możliwej realizowalności maksymalnej wielkości. Sądzę, że przesłanka ta jest prawdziwa; a zatem uważam, że ta wersja argumentu ontologicznego jest trafna (Plantinga: 160).

Nie zgadzam się ze wszystkim, co zostało powiedziane w tym podsumowaniu. Wbrew jego słowom, w argumentacji Plantingi nie ma żadnego wynikania. Wniosek polega na powtórzeniu przesłanki: „jest możliwe, że istnieje element o najwyższej wartości w jakimś zbiorze”. A „trafność” według Plantingi to nic poza redundancją – jak pamiętamy. Zatem jego wersja argumentu ontologicznego sprowadza się do przyjęcia, że jeśli Bóg istnieje, to Bóg istnieje. Ja mogę tylko do tego dodać, że jeśli Bóg istnieje, to postąpił niełaskawie pozwalając, by św. Anzelm miał takiego obrońcę swej teorii w 900 lat po swej śmierci.

## Konkluzja

Jak każda umiejętność, adoksografia może być praktykowana umiejętnie i nieumiejętnie. Błędem jest oczywiście zdradzić się ze swą szyderczą intencją, gdy się jest adoksografem. Adoksografia to ukryta krytyka lub nieszczerza pochwała. Zatem błędem jest też z zapalem walczyć o ośmieszoną sprawę, otwarcie stawać w jej obronie, popełniać przy okazji błędy logiczne lub warsztatowe, zdradzić się ze swą niekompetencją lub przejawiać aprioryczną niechęć. Błędem jest

również wypierać się szyderczych intencji tylko dlatego, że się ich nie czuje (to przypadek Kripkego i Plantingi; co myśleć o Darrowie, nie wiem), gdy jednocześnie nie umie się ich poskromić w swych wypowiedziach. A wprost szaleństwem jest udawać, że się nie jest adoksografem wbrew oczywistym faktom.

## Literatura

- Erazm z Rotterdamu (1953), *Pochwała głupoty*, tłum. i objaśnienia: Edwin Jędrkiewicz, wstęp: Henryk Barycz, Wrocław: Zakład im. Ossolińskich – Wydawnictwo PAN.
- Kripke Saul A. (1982), *Wittgenstein on Rules and Private Language*, Cambridge MA: Harvard University Press.
- Kripke Saul A. (2007), *Wittgenstein o regułach i języku prywatnym*, tłum. Krzysztof Posłajko i Leszek Wroński, Warszawa: Fundacja Aletheia.
- Millikan Ruth Garrett (1990), *Truth Rules, Hoverflies, and the Kripke-Wittgenstein Paradox*, „The Philosophical Review”, Vol. 99, No. 3.
- Pease Arthur S. (1926), *Things Without Honor*, „Classical Philology”, Vol. XXI.
- Plantinga Alvin C. (1995), *Bóg, wolność, zło*, tłum. Krzysztof Gruba, wprowadzenie: bp Józef Życiński, Kraków: Wydawnictwo Znak.
- Platon (1957), *Eutydem*, tłum. Władysław Witwicki, przygotowanie do druku: Henryk Elzenberg, Warszawa: PWN.
- Wittgenstein Ludwig (1972), *Dociekania filozoficzne*, tłum., wstęp i przypisy: Bogusław Wolniewicz, Warszawa: PWN.

## Streszczenie

Autor uważa, że trudno wyznaczyć granicę między naiwnym zachwytem nad pewnymi teoriami i skrytym ich ośmieszeniem. Krytyka literacka jest często prowadzona w sposób dwuznaczny lub nawet perfidny. Erazm z Rotterdamu był przekonany, że celowe wypaczanie prezentowanego stanowiska zdarza się szczególnie w prawie, filozofii i teologii. Nie starał się wyjaśnić, dlaczego tak jest. Ukazał jednak wyraźnie, że umiejętność odróżnienia pastiszu od pochwały znacznie się poprawia, gdy pod uwagę bierze się tradycję adoksograficzną, choć w jego czasach ten termin nie istniał.